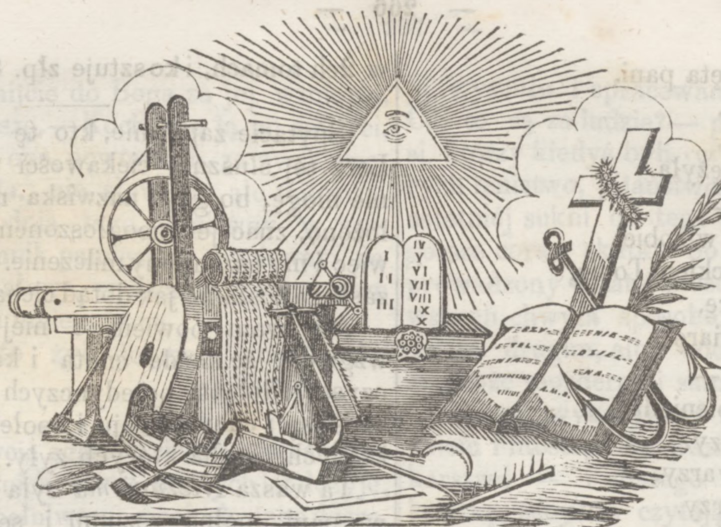
№ 34.
Warszawa
Dnia 12(24)
Sierpnia
1856.
Niedziela
15ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.
PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący i wieczny Boże! pomnóż w nas wiarę i miłość ku Tobie, a iżbyśmy dostąpili tego, co nam obiecujesz, daj nam to miłować, co rozkazujesz (Modlitwa kościelna na niedzielę 15 po świątkach).

Pocałunek Królowéj.

(Legenda).

—

Zdawna, zdawna, Polski naród
Nosił w piersiach wiary zaród;
Ona zawsze przodkowała,
Pierwszą była Boża chwała.

Dobry przykład szedł od tronu
Do chłopskiego aż zagonu,
A od starszych znów do młodzi,
Dobre ziarno owoc rodzi.

—

W obyczajów swych prostocie
Kochali się zawdy w cnocie,
Za kraj, wiarę nieśli zdrowie,
Tacy byli cni przodkowie.

—

Wonczas głośna z cnót niewiasta,
Siadła była na tron Piasta,
Kunegunda z Węgrów rodu,
Zwana świętą od narodu.

—

Żona Krola Bolesława,
I pobożna i łaskawa,
Młoda, piękna i wstydliwa,
I na nędzę bliźnich tkliwa.

—

Tyle było w niéj pokory,
Że nędzarza bratem zwała,
Opatrzyła, gdy był chory,
Rany kalek obmywała.

—

Raz w licznym jadąc orszaku,
Wśród pań, panów i gawiedzi,
Spostrzega przy drogi szlaku,
Że tam siwy nędzarz siedzi.

—

Wnet się wstrzymać rozkazuje,
I pospiesza do nędzarza,
Lecz wstręt jakiś dziwny czuje,
Tak postać jego odraża.

—

Członki starca pokrzywione,
W oczach dziki ogień żarzy;
Ręce, nogi, poranione,
I okropny trąd na twarzy.

Walczy z wstrętem święta pani,
Że aż walka serce rani.
Ale wreszcie wiary siła,
Wstręt Królowéj zwyciężyła.

—

Boże przebacz!...rzekła w sobie,
Wszak on jak ja—dzieckiem Tobie,
A za wstrętu mego karę,
Dobrowolną przyjm ofiarę.

—

To wyrzekłszy, prócz pieniędzy,
Dla ulżenia srogiéj nędzy,
Mimo trądu, ran na twarzy,
Pocałunkiem starca darzy.

—

Po spełnionym owym czynie,
Lubą rozkosz w sercu czuje,
I łza słodka z oczu płynie,
Sama siebie nie pojmuje.

—

Gdy tak pełna zachwycenia,
Wzrok z ziemskich wznosi padołów,
Widzi jasny świat aniołów,
I niebiańskie słyszy pienia.

—

Gdy ku ziemi myślą zbiega,
Jeszcze słodko marząc sobie,
Już żebraka nie postrzega,
Chrystus w jego był osobie.

Pan Wojciech czyli wzór pracy i oszczędności.

—

Należy wam się, podług przyrzeczenia, danego w programie Czytelni Niedzielnéj, donoszenie i obznajmianie z książkami, pisanemi w naszym języku, dla klas waszych rzemieślniczych, a w ogóle pracujących.

Wywięzując się z tego, zaczynam od książki, która bez zaprzeczenia, piérwsze miejsce zajmuje w tym rodzaju.

Nosi ona tytuł: *Pan Wojciech* czyli *wzór pracy i oszczędności.* Wydaną to jest wydrukowaną była pierwszy raz w dwóch tomach, czyli książkach, w drukarni Józefa Węckiego w roku 1836,—a drugi raz w r. 1843 z rycinami, u księgarza Orgelbranda przy ulicy Miodowéj Nr 496; także w 2ch tomach, i kosztuje złp. 8 czyli rs. 1 k. 20.

Spytacie zapewnie, kto tę książkę napisał? Lecz téj słusznéj ciekawości waszéj zaspokoić nie mogę, bo gdy nazwiska na książce nie położono, znać je nieogłoszonem mieć chciano — więc i my uszanujmy milczenie.—Niech wartość i zasługa zostanie jak dotąd cichą, lecz prawdziwą.

Ale wam powiem o niéj ogólnie, z tego względu, że każda cnota i każda prawdziwa a czysta zdolność pojedynczych ludzi, jest własnością i chlubą kraju i społeczeństwa, wśród których, i dla których żyły.

Ta wasza *Nieznajoma* była to zacna i litościwa pani, pełna rozumu i serca niewiasta.

Wielkie to słowo *serce*!—Jest ono w człowieku mieszkaniem Boga, bo w niem się rodzi miłość, a Bóg jest miłością, jak mówi ewangelista.

Miłość też cuda czyni; wszystko zwycięża, bo prowadzi do poświęceń— jest pocieszycielką rodu ludzkiego, bo ociera łzy cierpieniu, tuli do siebie nędzę i sieroctwo— złości nie wyrządza, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego—wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, i wszystko wytrwa.

Ta miłość chrześciańska, którą tak apostoł opisał, płonęła w sercu owéj pani.

Wylewała ją ona na swą rodzinę, męża, dzieci, i daléj jeszcze, bo na ludzi swych braci, nietylko słowem, ale uczynkiem. Lecz dziś już Jéj między nami nie ma — Bóg ją zeszłéj jesieni powołał do siebie—tylko po niéj łzy płyną—oczy nie obeschły, a serca nie przebolały.—Ale *kto żyje dla Boga i ludzi, ten nigdy nie umiera.* Więc ze śmiercią owéj pani nie ustała dla was, jéj czuła przyjaźń i opieka. Jeszcze ona, wedle słów własnych, gdzieś tam daleko żyć będzie w następcach, którzy jéj duchem oddychają. Zostawiła *Nieznajoma* w swéj rodzinie ów skarb, bo to samo *serce*, i jemu przekazała miłość, którą ono obok własnego natchnienia, jako drogą spuściznę szanuje i pełni. Niech zatem i nazwisko Nieznajoméj zostanie w tajemnicy — żałujcie Jéj tylko, wspólnie z nami, bo Onaby nas w tem piśmie najlepiej cieszyć i uczyć umiała; gdyż Ona przed innymi pojęła naprzód wasze potrzeby, nędze, utrapienia— przeczuła je w swéj miłości, i nad niemi płakała, a o szczęściu waszem, niejedną chwilę rozmyślała. I wy więc przy nadchodzącéj w dniu jutrzejszym rocznicy jéj

imienin, westchnijcie do Boga za jej wzniosłą, czułą i czystą duszę.—Kochajcie ją po śmierci, nieznając jéj, bo ona, powtarzam, za życia swego was ukochała, nie słowem, ale miłością.

Dla uczczenia dnia tego, wznieśmy w sercach naszych pomnik pamięci, i wypiszmy na nim jéj własne słowa, w książce, którą wam opiszę, na końcu umieszczone.

Szczęśliwy, kto żył dobrze; umarł jako człowiek,

. . . .

Wówczas choć życie zgaśnie, ziemia kości skryje,
Jeszcze on w bliźnich sercu późnych lat dożyje,
Gdyż cel życia spełniwszy, wzniosła jego dusza,
Kochać go, i szanować i po śmierci zmusza.

I.

Przyjaciele!—tym słodkim wyrazem przemawia Nieznajoma do was rzemieślnicy, robotnicy, służący i wyrobnicy! i tłumaczy wam, dla czego ową książkę dla was napisała. Niedostatek i utrapienia wasze, z jednéj strony— a z drugiej litość i miłość chrześciańska, która jéj nie jednę chwilę nad szczęściem waszem rozmyślać kazała,— dały jéj pióro do ręki, aby wam inapisać tę powieść. W niéj chce ona wam wykryć wasze obowiązki, wytknąć błędy, którym wszyscy ludzie podlegamy,—i wskazać dla unikania źródło ogólne nieszczęść— a to w radach przyjacielskich, na doświadczeniu opartych—tak, żby to obok zabawy, i korzyść wam przyniosło.— Zagląda ona do waszych domów, i tajników rodzinnych;—i widzi, jak niejeden z was całe życie pracował, a często zarobek tyloletniéj pracy nie wystarczył mu nawet na pochowanie spracowanych kości—lub jak inny na starość musiał szukać przytułku u dzieci, gorzko płacząc na najbliższych istot niewdzięczność—albo znowu jak niejedno dziecko nie umiejąc sobie w świecie poradzić, wyrzuca siwiznie waszéj smutny los swój, jaki mu złem wychowaniem zgotowaliście. A jakaż tego przyczyna?—Oto przyjaciele, mówi ona, bardzo jasna i widna, bo nie wszyscy umiemy pracować, oszczędzać, wychowywać dzieci, i kochać Boga i bliźnich. Są to wady gorsze od klęsk i wypadków, od ognia i wody.

Ukazuje wam potem, na ten tłum kalek żebrzących przy kościołach, którzy zaledwie łachmanem nagość swą okryć mogą— wyciągają wyschłe i spracowane ręce po jałmużnę. Cóż to są za ludzie?— pyta.— Są to bracia wasi, którzy kiedyś byli w dobrym stanie, a których lenistwo, pijaństwo, nierząd, gry i stawki ostatniéj sukni do tego doprowadziły.— Ztąd gorsze coraz skutki, bo człowiek do takiéj doprowadzony ostateczności albo się najniegodziwszych chwyta sposobów zarobkowania, wydziera drugim, albo oddając się rozpaczy, stać się może mordercą i samobójcą.

Oto tak wykazawszy wasze rany, z miłosierdziem i litością chce wam ona podać na nie lekarstwa — i dlatego napisała dla was ową książkę, żebyście czytając tam czyste przykłady z codziennego życia ludzkiego czerpane, powoli się coraz lepszymi, a przez to szczęśliwszymi stawali.

Tak się wspomniona tyle razy książka zaczyna, taki ma cel, a sama powieść jest następującéj osnowy.

II.

Wojciech był synem biednych rodziców. Ojciec jego Jan rodził się z ekonomów z Kaliskiego. Z dzieciństwa był na opiece u dziedzica Bełżyc—ale oddany do szkół, uczyć się nie chciał; wrócił więc znowu do swego pana na lokaja i został potem kamerdynerem.—Lecz nigdzie nie zagrzał długo miejsca.—Dostawszy po rodzicach małą fortunkę, założył handel Norymbergski, dorobił się trochy grosza, lecz późniéj go stracił.— Po raz drugi zatem wrócił na lokaja.— Ale złe nałogi doprowadziły Jana do chorób i nędzy; z czego niedługo przeniósł się do wieczności — a wprzód jeszcze żona jego, i Wojtuś, to biedne dziecko zostało sierotą w 15 roku życia swojego— z pamięcią tylko okropnéj przeszłości —Świat długi i szeroki, gdzie się udać, co począć sierocie? Dziedzic Bełżyc zostawił u siebie Wojtusia na lokajstwie w miejscu zmarłego ojca. Chłopiec ten potrafił sobie zyskać jego zaufanie, ale dobry pan mając na widoku więcéj los młodego sługi, niż własną dogodność, na prośby Wojtusia oddał go do rzemiosła szewckiego, i pomieścił w terminie u jednego z lepszych majstrów w Warszawie.

Po 6ciu latach terminu (gdyż był na sprawunku majstra), Wojciech w 22 roku życia został czeladnikiem. Zaraz wkupił się do gospody, aby zyskać owo braterstwo i wspólność, tak chwalebne w rzemiosłach i cechach, któreby w

razie choroby lub potrzeby, dało mu przytułek i pociechę. Wojciech wyzwoliwszy się na czeladnika, nie opuścił swego majstra p. Trzeźwickiego, aby mu się przez to wywdzięczyć za ojcowskie jego postępowanie.

Nowy czeladnik był pilnym, pracowitym, trzeźwym.—Święta obchodził uczciwie, poniedziałki trawił na pracy, gdy tymczasem inni przez rozpustę niszczyli zdrowie, i zarobek. Nikomu nie żałował, ale rozrzutności nienawidził. Zapracowane pieniądze składał w Kassie oszczędności—gdzie od 100 złp. płacą rocznie procentu złp. 4. Więc jak złożysz np. tam 1000 złp., za rok dostaniesz 1040 złp.— a jeżeli je zostawisz, to będziesz miał na następny rok procent od 100 i od 40 złp., którycheś nie wniósł, ale zarobiły je same na siebie pieniądze twoje.—Ktoby zaś złożył tam dziś np. złp. 1000, to za lat 18 mieć będzie 2000 złp.—Spytacie, komu do głowy pierwszemu taka myśl dobra o tym banku przyszła? A to temu Beniaminowi Franklin, o którym wam napisaliśmy w Nr 6 Czytelni Niedzielnéj.

Po dwóch latach pobytu u dawnego majstra, Wojciech zebrawszy sobie trochę grosza, mając przytem młodość i zdrowie wyborne, puścił się na wędrówkę. Udał się naprzód do miasta Wilna na Litwę—i dobrze zrobił,—bo niejeden goni wiatry po świecie, a nie zna własnéj ziemi, która go urodziła i wykarmiła.

Stąd przez Moskwę i Petersburg morzem Wojciech dostał się do handlowego miasta Hamburga.— Tu poduczywszy się niemieckiego języka, w jednéj rozmowie z niemcem dowiedział się, naprzykład między wielu innemi rzeczami, że kto u nich jest szlachcicem, a chce zostać obywatelem tego wolnego handlowego miasta, musi się zrzec swego szlachectwa za siebie i za potomstwo swoje.

Niedługo jednak gościł mimo to pomiędzy Hamburskiemi rzemieślnikami i odjechał do Holandyi, gdzie to holenderskie śledzie poławiają.— W kraju tym, opisuje p. Wojciech, z powodu porządku i zamiłowania pracy— mniej służby trzymają, aniżeli u nas.

Jedna np. służąca i jeść ugotuje, i sama sprzątnie, usłuży, i uszyje a nawet uprzędzie w zimie lnu na koszule lub nici na pończochy,— chociaż i tam, jak u nas, dzień i noc czynią 24 godzin, a ludzie mają po 2 ręce i 2 nogi tylko. W Holandyi jest miasto Amsterdam skąd do nas najwięcéj śledzi przychodzi. Łowią je tam od św. Jana do Lipca, a potem od Września do końca Października, w niektórych zaś miejscach i do Stycznia.—Zwykle robią na nie jak Wojciech opisuje, sieć z bardzo grubego, naumyślnie uczernionego jedwabiu— i zarzucają tam, gdzie najwięcéj ptaków drapieżnych krąży, bo tam śledzie być muszą. Wieczorem ku zachodowi słońca zarzucają takie sieci mające, 50 do 60 sążni długości, zostawiając je przez parę godzin.— W 3 godziny każda sieć od 13 do 14 łasztów śledzi ułowi— potem śledzie czyszczą z wnętrzności, solą, pakują w beczki, i nam przysyłają— a my płacimy, jemy, i tylko wodą popijamy.

Lecz panu Wojciechowi pomiędzy owemi śledziami zrobiło się widać słono i nudno, bo niedługo zabawił i pojechał do Anglii.

Już tu (powiada p. Wojciech) to prawie wszystko robią machiny parowe, nawet buty i trzewiki; jedna wycina, druga robi dziurki, inna spaja i tak się zwijają, że w momencie staje obuwie, i do 100 par trzewików na dzień machiny te dostarczyć są zdolne. Wyrachowali bowiem, że siła 1 konia równa sile 5 ludzi, a że w Anglii za czasów p. Wojciecha było 15,000 machin, więc one zastąpiły siłę blisko 12 milionów ludzi. Że zaś utrzymanie każdego konia kosztuje rocznie tyle, co wyda kawał ziemi, 3 morgi mający; zastąpienie przeto konia siłą pary oszczędzi 700,000 takich kawałków ziemi, które zasiane za to zbożem, wiele głodnych ludzi wyżywić mogą.

Tak sobie bujał p. Wojciech po świecie— jednak go nie nasyciły ani hamburgskie porządki, ani holenderskie śledzie, ani dowcipne angielskie machiny— zatęsknił on do rodzinnéj ziemi, do owych pól i niw złotą pszenicą i srebrnem żytem postrojonych, do owéj mowy, którą od kolebki z ust swéj matki słyszał,—bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiéj.

Więc zwinął chorągiewkę, i wracał do rodzinnego kąta, a w podróży nazad wysiadł naprzód we Francyi. Dojechał on tu morzem na statku parowym, podobnym do tych, jakie widzicie na Wiśle, a które główny założyciel dzisiejszéj u nas żeglugi parowéj, czcigodny Hr. Andrzej Zamojski przyswoił, nowe pobudował, dał przez to chleb licznym pracownikom,— wygodę mieszkańcom,— korzyść krajowi, a za-

służoną chlubę swojemu imieniowi.— O tem wszystkiem niedługo obszerniéj wam opowiem. Dostał się wreszcie p. Wojciech do Paryża, stolicy francuzkiéj.

Ale nawet w Paryżu już go nic nie bawiło, — nie zajmowało, tęsknił on do kraju, tak, że przebiegłszy tylko mimochodem Bawaryą, i piwa tam pić nie chciał, a uciekał do domu.

Nareszcie jednéj soboty wieczórem ujrzał nasz wędrowiec kochaną Warszawę.— uczuł się między swoimi, w wielkiéj rodzinie współbraci, gdzie tak miło z nimi, czy to śmiejące się szczęście, czy płaczącą nędzę i boleść wspólnie podzielać; bo tu wszyscy i wszystko swoje.

Tak się kończy pierwsza z owych 2ch książek.

III.

Trzeba wam wiedzieć, że p. Wojciech historyą swoję, ktorą ja wam opowiadam, opisuje sam swoim przyjaciołom, zebranym jednéj niedzieli u niego.

Druga książka téj powieści, zaczyna się od tego, że to samo grono przyjaciół i słuchaczów zebrało się następnéj niedzieli u księdza kanonika, przyjaciela jego, który z okoliczności opowiadania pana Wojciecha tłumaczył im co jest ziemia, słońce, gwiazdy, światło, ciepło, pioruny, deszcz, śnieg i wiele ciekawych rzeczy.

O tem wszystkiem późniéj wam będziemy pisywali. Jeżeli zaś zaraz jesteście ciekawi tego, czytajcie książkę, o któréj wam piszę.

A teraz wróćmy do p. Wojciecha.

Następnéj niedzieli, ci sami przyjaciele zebrali się z kolei u niego, który im daléj opisywał swą historją, a która była taka:

Niema co mówić, że p. Wojciechowi za granicą otworzyły się oczy, nabrał doświadczenia, dużo widział, — wogóle, jak to mówią, otarł się w świecie pomiędzy ludźmi. Jednakże mimo to, powróciwszy do swoich, Wojciech, lubo już miał wszystkie wiadomości swego rzemiosła i odpowiedni na to kapitalik, nie został odrazu majstrem, ale u Trzeźwickiego dawnego swego pryncypała, pracował jako czeladnik, iżby temu, już dziś nie przełożonemu, ale przyjacielowi swemu, wywdzięczyć się za jego dawną troskliwość. I miło to było patrzeć na tych dwóch ludzi, których miłość i szacunek wspólny łączyły, bo też tak być winno między wszystkimi rzemieślnikami, majstrami, czeladnikami, i młodzieżą warsztatową.

Ale p. Wojciechowi czas było pomyśleć o ustaleniu sobie lepszego losu, i o małżonce, bo się już jakoś ku trzydziestce miało, i nie był on od tego—Nie tak łatwo jednak przyszło p. Wojciechowi znaleść sobie przyjaciołkę całego życia swego,— gdyż sam uczciwy i pracowity człowiek, wymagał tego i po przyszłéj swojéj żonie. Pojmował on, że małżeństwo, jeżeli ma być szczęśliwem, winno się opierać na miłości — i prawdziwym szacunku.—Trzeba więc wprzód poznać nawzajem przymioty serca jednéj i drugiéj stronie, bo te nie ulegają zmianie tak prędko, jak uroda.—Wtedy gdy dwa serca połączy taka miłość nie osobista, ale wspólna, zrodzi się z niéj szacunek, i żadne nieszczęścia uczuć ich zmienić nie potrafią; nędza ich nie dotknie, bo miłość poprowadzi ich do pracy, praca i oszczędność, przy błogosławieństwie bożem, nigdy ich nie odstąpią. Przecież to jasne, iż jak ciało potrzebuje chleba, tak i dusza i serce w człowieku muszą mieć również swój chleb, a tym jest uczciwe uczucie małżeńskie, czyli miłość zobopólna. Szukał więc pan Wojciech żony, a w niéj przede wszystkiem, obok zamiłowania pracy, *dobrego serca*: bo te dwa przymioty piękność jéj duszy stanowią. Nie pragnął on pieniędzy, bo je jak każdy uczciwy człowiek, o tyle cenił, ile do uchronienia od nędzy służyły; a wreszcie w sile wieku i z chęcią do pracy, miał słuszną nadzieję dojścia do pomyślności i dostatku. I wkrótce poznał w domu swych przyjaciół Marysię, sierotę po wyrobniku, wówczas w służbie zostającą, a przekonawszy się o jéj sercu i dobrych przymiotach, pojął za małżonkę. Lubo dzień ślubu jest najuroczystszym w życiu człowieka, wesele jednak odbyło się bez tańców, i krzyków, a potem pan Wojciech nie założył jeszcze warsztatu oddzielnie na swoje imie i rękę, lecz mieszkał i pracował w spółce z Trzeźwickiemi.— Zgodzili się mężowie, bo żaden z nich nie był ani chytrym, ani chciwym, ani podejrzliwym, ani zazdrosnym, jak to często bywa— zgodziły się i żony, bo się miały czem zająć, nie stało im czasu na *plotki*, bajki, i cudze sprawy, a stąd niewinne szarpanie cudzego imienia i czci, zwłaszcza, że pani Wojciechowa była z gruntu uczciwą i *bez obłudy* kobietą.

„*Dosyć człowiek ma z sobą do czynienia*, *mawiała, aby się sam poprawił, nie żeby czas marnował na zajmowaniu się cudzemi sprawami.*“— Była przytem szlachetną, bo gdy

się widziała oszukaną w przyjaźni, wolała odsunąć się od takich ludzi, aby nie być drażnioną ciągle w swem prostem i uczciwem sercu.

W kwartał po ślubie pan Wojciech dopiero zaczął rzemiosło oddzielnie sam na siebie.

Jednakże przykro mu było rozstawać się z Trzeźwickiemi,—i zastanawiał się nad tem, jak wielkie mogłyby być korzyści, gdyby familie mogły mieszkać i jadać razem. Wszak tak żyją po zakładach więziennych, fabrykach i szpitalach.— Ugotuj naprzykład rosół z kilku funtów mięsa razem, a kilkanaście osób smacznie się nim posili; jakżeby ci zaś smakował rosół zrobiony osobno z pół funta mięsa— któregoby nawet w kawałku na tę cenę i nie dostał dobrego.

A cóż dopiero za oszczędność w pracy, i czasie, oświetleniu i ogrzaniu!

Tylko miłości, zgody i jedności między ludźmi, a wszystko dobre stanie się dla nich możebnem.

Państwo Wojciechowie na nowem gospodarstwie, oprócz zwykłego zatrudnienia, mieli jeszcze inne. P. Wojciech zajmował się wpajaniem moralności w czeladź swoję, pani zaś czuwała nad dobrem postępowaniem służących. A kochani byli od wszystkich, bo z każdym wychodzili z *otwartością* i prostotą, nikogo nie cenili z pozoru, bo kto tak robi, to sam wart niewiele. Trzy przysłowia wzięli sobie za zasadę swojego życia: *ubogo ale chędogo— podług stawu grobla*, i *pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki*; czyli porządek, umiarkowanie i pracę. Ale ludzie ci nie o sobie myśleli tylko. Pan Wojciech chłopców w terminie swoim pielęgnował, jak dzieci, a czeladników uważał za przyjaciół. Nad pierwszymi miał oko, aby uczęszczali regularnie do szkoły rzemieślniczéj,—a z drugimi często gęsto rozprawiając w wolnym czasie, o różnych pożytecznych rzeczach. wiele ich nauczył. Bo pan Wojciech słusznie rozumował iż rzemieślnik prócz swego rzemiosła, powinien wiele umieć,— aby to rzemiosło doskonalić. Zresztą czas na nabycie takich wiadomości obracany, wieluby szczędziło od poniedziałkowań i marnotrawstwa,— i przywykało do porządku i wstrzemięźliwości— a te dają rzemieślnikom i kredyt łatwiejszy, i większą wziętość, i pewniejszy zarobek. Widział bowiem pan Wojciech, że wielu kolegów jego postępując nierzetelnie i niesłownie, nietylko sobie szkodzą, ale i innych tem krzywdzą, i samo rzemiosło w poniżenie poddają. Zdarza się bowiem, że niejeden nie zrobi roboty na czas, albo co gorsza, weźmie zadatek, zniknie, i dopytać się nawet o niego trudno— łaszcząc się na kilka złotych, aby je strwonił w próżniactwie i pijatyce, na hulaniu i próżnych śpiewach, które w ludziach uczciwie myślących, bolesne uczucie sprawiają.

To też czeladnicy z nauki pana Wojciecha, a służące z ręki jego małżonki wychodzący byli poszukiwani.— I to była wielka zasługa tych poczciwych ludzi— bo niechby pani Wojciechowa 10 dobrych służących przysposobiła, to te nie dając okazyi mężom przyszłym do złego, ochroniłyby 10 znowu dobrych ludzi. Niechby każdemu Bóg dał dziecię, lub nie mając swych, każde z nich wychowało sierotę, przybyłaby znowu dobra dziesiątka społeczeństwu. Ci znowu ludzie niechby znowu tak wykształcili przez dobrą radę i przykład swych służących, krewnych, młodszych braci, siostry, to by z tego 50 poczciwych ludzi światu przybyło, i 50 mniéj Boga obrażało. Tak samo i co do czeladzi.— Niechby od pana Wojciecha wyszło 20 ludzi, to idąc owym trybem, 100 osób by poczciwych przybyło— więc w ciągu życia swego państwo Wojciechowie półtorasta mniéj więcéj ludzi dobrych dostarczyli społeczeństwu.— Jak to miło takiemu i umierać nawet, bo choć kilkadziesiąt razy może *przerzucą ziemię, kości jego pokrywającą, on jeszcze gdzieś tam daleko żyć będzie w następcach, którzy jego pobożnym, pracowitym i uczciwym duchem oddychać będą.*

Pan Wojciech miał 6ro dzieci, z tych dwoje wcześniej umarło, a z czworga pozostałych syn najstarszy był szewcem, drugi urzędnikiem; starsza córka, có była wprzód piastunką, poszła potem za dobrze się mającego kupca— a młodsza została guwernantką. Dobrze się dzieci pokierowały, bo dobrze w domu prowadzone były; w religii, moralności, surowości, prostocie i otwartości, w swobodnym ale przyzwoitym ruchu, bieganiu, przyzwyczajaniu do pracy i niewygód, bez zbytecznych pieszczot, ale w prawdziwéj miłości rodzicielskiéj. Mianowicie zaś strzeżono ich jak od ognia, od *kłamstwa*, téj najzgubniejszéj przywary. Nie narzucali oni zresztą dzieciom swym stanu, ani przyszłości, ale czuwali z miłością nad ich wyborem. Nie robili też

tak jak wiele innych rodziców, którzy mając dorosłego synka, ustroją go jak lalkę, i cieszą się, że ładnie wygląda, wkładają w powierzchowność pracę swoję, a lekceważą wewnętrzne zalety. Zedrzyj z niego te ozdoby, a zostanie bezużyteczny posąg, z którego rodzice żadnéj nie mogą mieć pociechy, i potem płaczą na dziecię własne, gdy tymczasem *na siebie samych* płakać powinni.

I tak żyjąc uczciwie i pracowicie, pan Wojciech doszedł lat sędziwych, kochany i poważany u wszystkich. Ale gwałtowna choroba owego przyjaciela cnoty i pracy, pogrążyła wszystkich w smutku okropnym. Żal i boleść widziałeś na wszystkich twarzach. Xiądz kanonik przyjaciel domu państwa Wojciechów, codziennym był teraz u nich gościem. Lecz życie zwolna gasło, i biegłość lekarzy, i troskliwość w niesieniu pomocy ustąpić musiały woli Najwyższego. I pan Wojciech, wypełniwszy obowiązki chrześcijanina—pożegnawszy rodzinę płaczącą i przyjaciół, oddał ducha Bogu.

Pogrzeb jego nie odznaczał się blaskiem i okazałością, ale miał najwyższą chlubę i przepych, bo serce i miłość swych braci, którzy z płaczem odprowadzili go do grobu i gorącemi łzami boleści, żalu i szacunku, zrosili garść ziemi, rzuconéj na miejsce ostatniego ludzkiego spoczynku. Ksiądz kanonik miał mowę krótką, ale rozrzewniającą, wystawił on słuchaczom w niej, że choć Bóg powołał do siebie cnotliwego, ale sercé jego i dusza, cnota i bogobojność a nadewszystko dobry przykład żyć będą w następcach, bo kto żył dla Boga i ludzi, ten nigdy nie umiera—i spocznie w grobie, który niejedna łza wdzięczności i uwielbienia zrosi.

Igła.

Do rzędu bardzo ciekawych fabrykacyj, należy robienie igły. Mały ten napozór wyrobek, musi przechodzić tysiączne koleje, zanim wyjdzie z rąk fabrykanta zupełnie wykończony. Dawniéj nieco, słynęła jako najpierwsza, fabryka igieł w mieście Akwisgranie. Nawet i Cesarz Napoleon I w czasie swego tam pobytu, zwiedził ją. Była to fabryka Sterza, dziś nierównie wyższa jest Neussa. Jak zaś daleko i w téj gałęzi przemysłu robota wydoskonalona i uproszczona została, można wnosić z tego, że przed 50 laty płacono robotnikom za pewną tylko robotę około igły po 2 talary od 2000 igieł, dziś ta sama robota około 20,000 igieł kosztuje tylko 8 groszy. Bardzo wiele robót, wykonywanych dawniéj ręką ludzką, obrabiają teraz maszyny tak dalece, że fabryka Neussa, która zatrudniała niegdyś do tysiąca robotników, dziś obywając się bez ich pomocy, dozwoliła użyć ich rąk do innych pożytecznych zatrudnień.

Szczególne to sprawia wrażenie, gdy się porówna ów wielki gmach fabryki, obszerne jego sale, liczne młoty, młotki i maszyny, z tak drobnym wyrobkiem, jaki z niéj wychodzi, tojest z maluczką igłą; ale wieleż to trudów potrzeba, zanim z pod tych młotów, lub owych maszyn wyjdzie ona z temi wszystkiemi własnościami, jakich po niéj wymagają szwaczki!

Igły robią się z drutu stalowego, który sprowadzają fabryki w okrągłych zwitkach, z wyspy położonéj na morzu Baltyckiem, zwanéj Altona. Drut ten potrzeba najpierw rozciągać, prostować, i w miarę tego jak gruba ma być igła, ścieniać. Potem krają go, i to na tak długie kawałki, ażeby każdy z nich wystarczył na dwie igły. Dzieje się to dlatego, że niektóre roboty, jak np. zaostrzanie końców, dadzą się na większym drucie łatwiéj i prędzéj wykonać, niż na każdéj oddzielnie igiełce. Dopiero gdy drucik ten z obu stron jest zaostrzony, ogładzony i wypolerowany, wtedy śmiałe cięcie rozdziela go na dwoje i kolejno idzie dalsze obrobienie.

Ciekawem jest czyszczenie, czyli tak zwane *Szurowanie* igieł, które odbywa się w ten sposób. Miliony igieł pomieszane z drobnym piaskiem, pakują się wskórzane worki, i wstrząsają ciągle przez trzy dni, poczem robią to samo z otrębami zamiast piasku, i igły ostatniéj nabierają polityury. Przy tem wstrząsaniu odpada zwykle od 10 do 20 procentu, gdyż wiele igieł zakrzywia się, które na nowo przerabiać potrzeba.

Długie palce są przedewszystkiem potrzebne robotnikom przy fabrykach igieł, gdyż muszą zawsze brać, ile możności najdłuższe rzędy igieł we dwa palce, trzymać je tuzinami na osełce, i tuzinami wkładać pomiędzy nożyce.

Rachują, że jedna igła musi przebywać 70 do do 80 kolei rozmaitych, dla dojścia do doskonałości i wykończenia. Są jednakże tylko główne przyrządzenia, a z tych przypada naj-

mniéj 10 na samo jedynie urobienie i wykończenie uszka, które nietylko naznaczyć, a następnie wywiercić, ale jeszcze oczyścić, wypolerować i wewnątrz zaokrąglić potrzeba. Dla zrobienia tego uszka, płaszczą najpierw igłę z grubszego końca; po spłaszczeniu żłobią rowek, czyli znaczą, poczem dopiero za pomocą maszyny przebijają dziurkę, a wkońcu gładzą, i polerują. Jeśli się jednak policzy wszystkie obroty, choćby najdrobniejsze, jakie zazwyczaj odbywają się z igłą, jeśli się policzy, ile razy robotnik przytknie ją do osełki, ile razy przepuści przez palce, i przykłada potem do oczu, by zmierzyć jéj długość, ile razy nakoniec rewiduje i poprawia, by najmniejsze uchybienie sprostować, wtedy bez wątpienia naliczyć można kilkaset kolei, które igła przechodzi. W fabryce Neussa pracuje 250 ludzi, którzy dziennie wyrabiają 200,000 igieł, na jednego więc robotnika wypada 800. To daje wyobrażenie o szybkości, z jaką postępują w fabryce; patrzącemu na to, aż się w głowie kręci, a nawet strach bierze na widok krzątających się dzieci około olbrzymich nożyc. Igły bowiem są krótkie, a muszą być jak najdokładniéj rozcinane, palce więc dzieci zbliżają się bez ustanku do owego strzygącego żelaza, a najmniejsze uchybienie, ucina odrazu palec, których już niemało z nieostrożności padło ofiarą przy téj fabrykacyi. To samo dzieje się i przy gładzeniu igieł, gdyż kamienie obracają się z tak gwałtowną szybkością, że często pękają, i jak kartacze rozlatują się na wszystkie strony. Raz odłamek takiego kamienia odleciał aż o 800 kroków od fabryki.

Gdy igły wyjdą zupełnie z rąk robotnika, pakują je w małe paczki, z których układają większe zwane pakami. Jedna taka paka zawiera od 20,000 do 100,000 igieł. Każda fabryka igieł ma swoje właściwe sposoby i wynalazki, które w jak największéj tajemnicy są chowane. Od doboru wszakże narzędzi i maszyn, zależy wiele dokładna fabrykacya i wyrobienie igły. W czasie odwiedzin Napoleona w fabryce *Sterza*, by mu dowieść, jak delikatnych narzędzi używa się do robienia igieł, wzięto najcieńszy włos ludzki, rozcięto go na dwie równe połowy, i wydrążano w każdéj okrągłą dziurkę, którą Napoleon przez szkło powiększające oglądał.

Rada gospodarska.

Przechowywanie mięsa i masła, stało się ważnem w gospodarstwie zajęciem, dlatego dobrze wiedzieć, że w soleniu tych przedmiotów, lepiéj jest używać soli suszonéj, a do mięsa wołowego nawet tak gorącéj, jak tylko da się utrzymać w ręku.

Aby utrzymać w czystości grubsze sprzęty, jak np. drzwi, okna, a nawet ściany olejno malowane, jako wyborny na toj środek podają *Wernix* z kopalni, który przyrządza się w sposób następujący: 1 funt afrykańskiego kopalu, topi się w naczyniu blaszanem, potem się dodaje czystego lnianego oleju, gotuje się, aż się zacznie ciągnąć, a następnie odstawia się i ochłada. Potem dodaje się 2 kwarty terpentyny i dobrze się zmiesza. Tak przygotowany do użytku płyn przechowuje się w naczyniu blaszanem, ale dobrze zamkniętém. Często bardzo, zwłaszcza gdzie łatwiéj jest o studzianną jak o rzeczną wodę, uskarżają się na brak wody miękkiéj, a nie każdemu wiadomy jak najprostszy środek, który łatwo temu zaradzić potrafi. Środkiem tym jest niegaszone wapno, garstka którego wrzucona do twardéj studzianéj wody, zupełnie ją zmiękcza i czyni do użytku przydatną.

Wierzba złamana.

U jednéj wierzby co przy drodze rosła,
Dwoje się sierot zwykle schodziło,
Bo jéj gałęzie wisząc jak wiosła,
Rzucały tu cień miękko i miło.
Dziewczka miała czarne, gęste kosy
I duże, czarne oczy jak sadza,
Chłopięciu rosną w ciemny kędzior włosy,
Oko niebiesko się wypogadza.
Trzasł piorun w wierzbę— odciął gałęź jednę;
Dzieciom pociekły łzy od łun krwawsze,
Nieszczęsna wróżba: tak sieroty biedne,
Rozłączy zły los na zawsze.
„Nie płaczcie dzieci!—rzekł do sierot dziadek,
Tylko kochajcie się i w burz przerwie;
Miłość mocniejsza nad grom i przypadek,
Bóg zgasi piorun, was nie rozerwie.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 9 (21) sierpnia 1856 r.— Starszy cenzor. F. Sobieszczański.